ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 8-go Lipca 1897. Nr. 27.

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Śląsku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

W Rzymie przy ówczesnym wielkim ruchu a ciasnych ulicach wolno było wozom z ciężarami jeździć tylko nocą; także furmani, odwożący materyał budowlowy do bazyliki, musieli robotę swoją częściowo w nocy wykonywać. Na tem oparła Rustyka swój plan. Mąż jej znał z pewnością niejednego z furmanów, wożących piasek, bo doły, z których go brali, położone były w pobliżu katakumb; dla czegoż by ten lub ów z nich nie miał zdać swojej nocnej roboty na kogo innego, mianowicie też gdyby mimo to otrzymał zapłatę.

Rustyka pospieszyła do domu i zastała męża swego Mincyusza przy rzeźbieniu płyty marmurowej do grobowca. Gdy mu plan swój opowiedziała, Mincyusz pochwalił go i nie tracąc czasu, poszedł na drogę apijską, aby w tamtejszych dołach piaskowych znaleść potrzebnego pomocnika. Rustyka tymczasem znowu się umiała dostać do budowli pod pozorem, że zbiera drzazgi.

Tam po długiem szukaniu udało jej się wreszcie odkryć Rufina, leżącego w odległym kącie podwórza przy budowli i trzęsącego się w febrze; towarzysze niedoli zanieśli go tamdotąd.

Gdy następnej nocy długi rząd wozów z piaskiem na miejsce odgrodzone przy bazylice wjeżdżał, na jednym z nich siedziała Rustyka trzymając, jak woźnica, lejce i bicz w ręku, otulona w gruby płaszcz z czerwoną czapką na głowie, jaką furmani rzymscy nosić byli zwykli; dzban dobrego wina stał tuż przy jej boku.

— Oho! — zawołał na jej widok stróż stojący przy bramie z pochodnią, — co widzę? Amazonka na furze z piaskiem! Gdzie woźnica?

— A bo ja wiem, gdzie jest, — odpowiedziała Rustyka. — Gdy mu się poszczęści i dostanie dużo na piwo, to potem całą noc chrapie, jak niedźwiedź.

— W zastępstwie męża, — mówił stróż, — ty kierujesz tym rumakiem. — I tu się zaśmiał, bo koń był bardzo zmizerowany. — Lecz na boginię koni Eponę! — zakrzyknął, świecąc Rustyce pochodnią w twarz — choć ci w tej czerwonej czapce tak bardzo do twarzy, ja cię jednak poznaję. Nie wieziesz ty co dla więźniów?

— Patrzcie go! — zawołała Rustyka, podnosząc w górę dzbanek z winem, — temu bibule wyschło w lampce, więc bierze się do mego dzbanka z olejem. Ho, ho, nie znasz chyba Zatybrzanek! Idź i zanieś twój nos czerwony do mennicy, będziesz mógł za to kupić dzban wina.

Wśród śmiechu innych furmanów uderzyła Rustyka biczem swego konia i zanim stróż cośkolwiek mógł odpowiedzieć, pojechała dalej.

Skoro przybyła na miejsce, gdzie piasek zładowywano, uprosiła towarzyszów, ażeby to uczynili, a sama zabrawszy płonącą lampę na łańcuszku pod wozem wiszącą, poszła szukać prefekta.

Błądząc po obszernym placu, zbliżyła się do wielkiego namiotu, gdzie pod strażą żołnierza gromada niewolników w wielkiej ciasnocie nocowała; lampka ją zdradziła i żołnierz zawołał; lecz Rustyka w tej chwili schowała się za kupę kamieni i uszła szczęśliwie niebezpieczeństwa. Krótko potem zbliżyła się do miejsca, gdzie leżał Rufinus i uklękła przy nim.

Prefekt zachorował wczoraj tak bardzo, że mimo oporu Sabina, przy robocie pozostać nie mógł. Dozórcy powiedzieli Sabinowi, że więzień ten ma zginąć podczas igrzysk niedalekich i to go zadowoliło; jego zemsta nie chciała się wyrzec przyjemności, jaką mu sprawi widok krwi rozdzieranej przez lwa lub ścinanego przez kata ofiary. Rufinus leżał na twardej ziemi, przykryty lekką matą ze słomy, drżący w febrze i czekający śmierci. Ach, gdybyż przed śmiercią mógł choć raz jeszcze zobaczyć swoje dziecko!

Wtem blask światełka uderzył oczy chorego; otworzywszy je szerzej, ujrzał Rustykę.

— Córka twoja pozdrawia cię tysiąckrotnie i przysyła ci ten napój, — rzekła cicho, i potem z troskliwością matki podniósłszy nieco chorego, przytknęła mu dzbanek do spieczonych warg.

Wyśmienite wino z Falernu wlało nowe życie w kości zesztywniałe więźnia.

— Nie mamy czasu do stracenia, — mówiła Rustyka dalej, — skup wszystkie siły i chódź za mną; wszystko jest przygotowane do ucieczki.

To powiedziawszy pomogła mu powstać, włożyła mu czerwoną czapkę na głowę, otuliła go furmańskim płaszczem a potem zgasiwszy światło, pociągnęła go z sobą aż do miejsca, gdzie piasek składano.

Nie było potrzeba wielu słów, aby furmanów innych z planem ucieczki zapoznać i pomoc ich uzyskać, wszyscy okazali się życzliwymi mężowi, który tak powszechnej u ludu zażywał czci.

Ponieważ kilka wozów już było próżnych, przeto poleciła Rustyka prefektowi, aby na jeden z nich wsiadł i z innymi za bramę wyjechał. Córka jego znajduje się w domu Ireny na Awentynie; gdy wozy tamdotąd dojadą, może wóz swój powierzyć innym.

Rufinus postępował, jak mu poleciła, ale wszystko snem mu się zdało; nie mógł sobie zdać sprawy, czy to rzeczywistość, czy ułuda.

Bez przeszkody przejechał on z innymi bramę. Gdy zaś minąwszy koloseum zbliżyli się do miejsca, gdzie droga zwracała się ku Awentynowi, dopomogli mu inni furmani zesiąść z wozu.

— Okazywałeś nam prostakom zawsze wiele serca, — tak mówili, — i starałeś się, żeby w mieście chleba nie brakło; twoja małżonka zaś nie wstydziła się odwiedzać najbiedniejszych zaułków miasta; dla tego wszystkiego chętnie ci dopomogliśmy do ucieczki.

Tu uścisnęli mu serdecznie ręce i pożegnali się z nim. Dopiero gdy Rufinus sam pozostał i wszystko rozważył, przeświadczył się wreszcie, że nie marzy, lecz że istotnie znajduje się na wolności.

Rustyka tymczasem zobaczywszy, że prefekt niepoznany za bramę wyjechał, rozradowała się z całego serca. Nie dbając o to, że pozbyła się stroju i woza, przysiadła się do furmana na ostatnim wozie, pełna ufności, że językiem i śmiałością, jaka dotąd cechuje kobiety z Zatybrza, zdoła się z badania stróża wykręcić cało.

Stróż zaś ów patrzał bacznie na furmanów przejeżdżających, bo go zbierała chętka pożartować z śmiałą niewiastą. Lecz wóz za wozem przejeżdżał, a Rustyki nie było i nadjechała na ostatnim.

— Nakoniec się pokazujesz, zatybrzańska czarownico, — odezwał się na

jej widok. — Lecz jakże się to dostałaś na ostatni wóz? Kto jechał na twoim wozie?

— Czy gęsi lub żołnierze nie potrafią chodzić jeden za drugim? — odpowiedziała żartobliwie Rustyka; — a mój koń miał by być do tego za głupi?

— Ależ ja uważałem na wozy i na każdym widziałem woźnicę.

— Moje wino poszło ci widocznie do głowy, — drwiła sobie Rustyka; — jestem przekonana, że teraz uważałbyś senatora za furmana.

— Niech cię kaci wezmą z twojem winem i twoimi senatorami! — zawołał stróż gniewliwie za odjeżdżającą kobietą. Ta jednakże obejrzawszy się, rzekła:

— Z jaką pogardą mówisz o senatorach! A przecież niedawno jeszcze byłeś odźwiernym pewnego senatora.

— Odźwiernym u senatora! — mruknął dozórca; lecz Rustyka już zniknęła w ciemnościach nocy, nie mógł jej się przeto pytać o wyjaśnienie słów.

Rufinus osłabiony szedł a raczej wlókł się długo do domu, w którym Irena mieszkała. Nie łatwo też było zbudzić odźwiernego. Gdy tenże nakoniec nieco drzwi odchylił i człowieka w czerwonej czapce zobaczył, zaraz znów drzwi przymknął i przez szczelinę zapytał, kim jest i po co przychodzi. Rufinus nie chcąc córki swej narazić na wielkie wzruszenie, jakiego by doznała, gdyby się nagle o uwolnieniu jego dowiedziała, powiedział, że jest posłańcem, który ma ważną wiadomość dla Ireny.

— Matrona Irena, — odpowiedział na to odźwierny, — została po południu wzięta przez cesarskich oprawców z domu i zawiedziona do więzienia.

— A moja córka? — zawołał z trwogą Rufinus.

— Co ja tam wiem o twojej córce! — odrzekł mrukliwie odźwierny i przytrzasnął drzwi, gniewny na późnego przybysza, że mu w odpoczynku przeszkodził.

Rufinus zaczął się domyślać, że Herakliusz ze zemsty teraz także córkę jego wraz z Ireną do więzienia wrzucić rozkazał. Wydawało mu się to całkiem prawdopodobne. Czyż mógł wątpić, że je obie jutro na śmierć skażą, skoro się ucieczka jego wykryje?

Jak on sobie to wyobrażał błogosławioną radość, gdy się z córką zobaczą! Jakże serce jego płonęło z pragnienia, aby córkę uścisnąć! Jeszcze chwila a skończą się doświadczenia i wszelki smutek. Bóg, który go tak cudownym sposobem uratował, z pewnością już też przygotował drogę, po której bieżąc, ujdzie mocy nieprzyjaciół. A teraz ten nagły a straszny zawód! Czyżby na to tylko odzyskał wolność, ażeby być świadkiem krwawej śmierci swojego dziecka? Ach, o ileż chętniej byłby wolał sam umrzeć!

Długą chwilę stał w myślach pogrążony, nakoniec postanowił powrócić do bazyliki i oddać się w ręce stróżów. Życzył sobie jak najspieszniejszej śmierci.

Niewypowiedziana gorzkość napełniła mu serce a noc ponura zalegała mu w duszy. W tej chwili przystąpiła do niego pokusa i zaczęła mu szeptać do ucha:

— Widzisz, że wszystko jest tylko przypadkiem! Los ślepy igra ze szczęściem ludzi. A ty głupcze wierzyłeś, że Bóg chrześcian rządzi światem!...

Była to pierwsza pokusa od czasu, jak Rufinus chrzest św. przyjął. Wszystkie cierpienia i poniewieranie dni ubiegłych zniósł z stałością, bez skargi, w przeświadczeniu, że jako chrześcianin cierpi dla swojego Boga; nękany chorobą dziękował Bogu, że dni doświadczenia skrócić i niebawem z Sofronią w wiecznej szczęśliwości połączyć go zamierza. Lecz ta zmiana między najsłodszą nadzieją a strasznym zawodem, której cieleśnie mocno zmizerowany Rufin zgoła nie przypuszczał, wstrząsnęła jego całą duszą.

Pokusie jednak nie uległ, jak wówczas w więzieniu mamertyńskiem. Dziś był synem Kościoła, wyznawcą zahartowanym przez cierpienia, poniesione dla wiary i jako taki posiadał za łaską

Bożą dosyć siły, ażeby pokusę przezwyciężyć.

Podnosząc załzawione oko ku Niebu, okrytemu gwiazdami, zawołał:

— Nie wódź nas na pokuszenie!

I jak przez Boga posłana, nadeszła w tej chwili Rustyka. Wielce szczęśliwa, że jej się udało prefekta uratować, spieszyła się bardzo, aby też być uczestniczką radości, gdy ojciec z córką się zobaczą. Wiadomość, że Irena i Walerya uwięzione zostały, przejęła ją boleścią, lecz dzielna niewiasta nie pozwoliła się nią przygnębić.

Kto wie, czy Waleryą też uwięziono? Owszem, zdaje się rzeczą prawdopodobną, iż to nie nastąpiło, bo sądząc z pory, w której się Rustyka z nią spotkała, przypuścić można, że Waleryi nie było w domu, gdy oprawcy po Irenę przybyli. Ta myśl dodała jej odwagi. Nakłoniła przeto Rufina, aby przenocował w jej domu, a nazajutrz rychło rano zacznie szukać córki.

Rufinus, ubezwładniony niemal boleścią, pozwolił się Rustyce prowadzić. Oboje przeszli przez most na Tybrze i wolno kroczyli ciasnemi uliczkami zatybrzańskiemi. Rufinus od czasu do czasu musiał usiąść na kamieniach, aby wypocząć i siły do dalszej drogi zebrać. Rustyka krzepiła go winem. Lecz choć ten trunek podnosił siły jego ciała, duch był ciągle pogrążony w znękaniu, z którego nie zdołały go podnieść słowa pociechy Rustyki.

— Gdybym był umarł, — wzdychał Rufinus — zanim tego strasznego zawodu doznałem. Byłem przygotowany na śmierć; zdany na wolę Boską, czekałem na koniec mego żywota. A teraz mam żyć, gdy córka moja musi umrzeć; być wolnym, gdy ona w więzieniu! Biedna, biedna dziecino moja. Rustyko, przepowiadaj mi »Ojcze nasz«, bo mój duch w ciemnościach. Módl się... mów, mianowicie trzecią prośbę! Tak: twoja wola niech się stanie, twoja wola niech się stanie!...

Niemal o tym samym czasie, — północ już była blisko, — wchodził pewien człowiek po schodach do pałacu



ŁAKOCIE W KOSZYCZKU.

cesarskiego. Był odziany szerokim płaszczem, pod którym widocznie niósł jakiś przedmiot. Pomimo późnej godziny wszystkie warty pałacowe przepuściły go bez przeszkody i bez pytania aż do komnaty cesarskiej.

Maksencyusz oczekiwał go już długo z niecierpliwością.

Obok cesarza stał dziwnie odziany człowiek o wschodnim typie twarzy, z czapką złotem przetykaną na czarnych kędzierzawych włosach, spadających mu aż na plecy.

— Przynosisz, co potrzebne? — zapytał Maksencyusz żywo.

— Jeszcze mleka nie ssało, — odpowiedział przybysz i z pod płaszcza wydobył nowo narodzone dziecko płci męzkiej i położył je na stole.

Cesarz uśmiechnął się, spojrzawszy na dziecko a potem zwrócił się do maga ze Wschodu ze słowami:

— Zabierzmy się tedy do ofiary.

W godzinę później ten sam człowiek w szerokim płaszczu opuścił pałac cesarski i szybkim krokiem udał się ku Tybrowi.

Maksencyusz zaś położył się spokojnie spać, pozbywszy się troski. Z wnętrzności zabitego okrutnie chłopca przepowiedział mu mag, że odniesie wspaniały tryumf nad Konstantynem.

Nazajutrz rano znaleziono na odległej uliczce, niedaleko brzegu Tybru, ciało mężczyzny, zakłutego nożami, a obok niego trupa zamordowanej dzieciny nowonarodzonej. Tajemnicza ta zbrodnia podwójna wzburzyła całą część miasta. Pretor wezwał ludzi w sąsiedztwie mieszkających przed siebie i dowiedział się, że w nocy słyszeli wrzawę bójki i słowa niezrozumiałe dla nich: »Moje dziecko zabić... całą nagrodę dostać«. Niektórzy twierdzili, że wśród wrzawy wymieniano nazwisko cesarza. Pretor usłyszawszy to, zaprzestał dochodzeń dalszych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAK POWSTAŁY NAZWY WSI I MIAST POLSKICH?

Sposób, jakim się utworzyły polskie nazwiska wsi, miast i miasteczek, ciekawym jest i ważnym z kilku względów. Są to bowiem nazwy naszych siedlisk i domów rodzinnych a zarazem stare zabytki języka, które posłużyły badaczom przeszłości do wyjaśnienia niektórych dawnych stosunków społecznych i sposobu osiedlania się ludności rolniczej polskiej przed wiekami. Cała kraina polska była pierwotnie pokryta lasami a pola nie były nigdzie darem przyrody ale wynikiem ciężkiej pracy ludzkiej. Wśród tej olbrzymiej puszczy, która szumiała od Karpat i gór śląskich po Bałtyk, w owem sercu prastarej Słowiańszczyzny, mieszkały od czasów przedhistorycznych ludy lechickie. Jeden z nich nad Wartą, Notecią i Gopłem osiadły, który zaczął najpierwej zajmować się rolnictwem i karczować lasy na pola, został przez innych Lechitów nazwany z tego powodu Polakami lub Polanami t. j. mieszkańcami pól. W zawiązkach narodów, zwykle siedliska ludzkie, podobnie jak i sami ludzie, nie miały żadnej nazwy. Jak dziś nie możemy pojąć wioski bezimiennej, tak w początkach osiedlenia wieś z nazwiskiem była wyjątkiem, a jeszcze w wieku 12, jak to widzimy z dokumentów, zdarzały się wioski bez żadnej nazwy. Naród lechicki składał się z dwóch głównych warstw społecznych: rolników czyli kmieci, t. j. chłopów książęcych, i z wojowników czyli szlachty. Najpotężniejszy z wojowników, zwany księciem, panował. Wszyscy inni składali jego zbrojną drużynę, strzegli grodów i granic, chodzili z nim na wojnę. Kraj cały, wszystkie lasy i wody były własnością panującego a wszyscy rolnicy

byli jego kmieciami. Książę musiał myśleć o utrzymaniu rycerstwa czyli szlachty, która nad bezpieczeństwem kraju i jego osoby czuwała. Danie rycerzowi kawała dzikiego boru nie byłoby żadną nagrodą, lecz zadaniem do długiej, mozolnej pracy. Książęta więc rozdawali bory naprzód kmieciom, aby oni wyrabiali ziemię, zakładali wsie i dawali daniny na utrzymanie zbrojnych drużyn. Między Wartą, Notecią i Gopłem, gdzie już w czasach pogańskich ludność była bardzo gęsta (jak tego dowodzą liczne i rozległe z dawnych epok cmentarzyska) a samo łowiectwo, rybołostwo i chów bydła nie wystarczało na potrzeby życia, uprawa zbóż musiała się zacząć bardzo dawno. W innych stronach Lechii, ponieważ ludzi było mało, najczęściej jeden kmieć zakładał pierwsze siedlisko nowej wioski w dziewiczym boru, czyli jak nazywano »na surowym korzeniu.« Osadę taką mianowano w dokumentach łacińskich villa. Dwie wsie oznaczało nieraz dwuch osadników. Z początku nowa osada nie miała zwykle żadnego nazwiska, ale z czasem następował zawsze powód do nazwania każdego zakątka ziemi tak a nie inaczej. Nazwy te nie powstawały nigdy przez ich umyślne wynajdywanie lub z wymysłu jednego człowieka, ale z naturalnego uznania wszystkich. Zwykle więc, gdy już osada rozrastała się przez podział między synów pierwszego założyciela, nazwa jej wytwarzała się z prostej odpowiedzi na zapytanie: kto tam mieszka? Jeżeli założył ją np. Krzesław czyli w skróceniu Krzesz, to mieszkali w niej Krzeszowice, jeżeli Racław, to Racławice, jeżeli Zdan, to Zdanowice i t. p. W języku polskim imię ojca za pomocą końcówki ic, ice przetwarza się na przydomek synowski. Tym sposobem za doby Piastów powstały wszystkie dzisiejsze nazwy wiosek z końcówką na ice. Były to zaś prawie bez wyjątku osady poddanych książęcych, nazywanych w dokumentach łacińskich 12 i 13 wieku incolae, homines adscripti, mansuarii, rustici, a najczęściej servi.

Drugą grupę nazw stanowiły wsie szlacheckie z końcówkami przymiotnikowemi i dzierżawczemi na: owo, ów, owa, awa, in, yń, usza, izna, ina, ja, yca i sko, oznaczającemi, że wieś była czyjąś prywatną własnością. O takiej wsi nie pytano się już kto w niej mieszka, jak o kmiecej, ale czyją jest, bo jej dziedzic jako wojownik, nie trudnił się rolą na wsi, ale przebywał przy księciu, w obozie, w grodzie. Jeżeli więc posiadaczem był Pomian, odpowiadano że wieś Pomianowa, jeżeli Mzur — Mzurowa. Gdy szlachta poczęła budować dwory i zamieszkiwać je, odpowiadano o dworze Słabosza, że Słaboszów, o dworze Zawichosta czyli Zawiszy, że Zawiszyn, o dworze Prandoty, że Prandocin, o dworze Bądza, że Bądzyn. Tym sposobem wieś jakiegoś Warcisława czyli w skróceniu Warsza, nazywała się Warszowa, potem Warszawa. Mazurzy dotąd mówią nie Warszawa lecz Warsowa. Od Drogosława czyli Drogusza pochodzą nazwy Drogusza, Druguszewo, od Sławka: Sławków, Sławniów, Sławsko czyli Sławsk, od Stanisława czyli Stanisza, Stanka: Staniszewo, Stanków, Stankowizna. Od Bytomia: Bytomsko, Bytom. Wieś założona przez szlachcica Wojaka w 13-ym wieku, została nazwana Wojakowa; przez Włosta: Włostowo; przez Obiecana: Obiecanowo i t. p. I później, gdy np. roku 1409 mieszczanin z Leżajska Giedlarz założył osadę na karczowisku królewskiem, istnieje tam dziś wioska Giedlarowa. Wsie rycerzy t. j. szlacheckie, czyli pierwsza w kraju własność prywatna ziemi, brały początek z nadań i sprzedaży książęcych już od wieku 10-go, a może i dawniej, tylko dla braku dokumentów wiedzieć o datach nie możemy. Uczony historyk Tadeusz Wojciechowski wykazał w dziele swojem »Chrobacya«, że wiek 11-ty zastał już w Polsce i osobistą własność ziemi t. j. szlachecką. Człowiek roboczy był wówczas tak poszukiwanem narzędziem do pracy, że książęta nadając lub sprzedając rycerstwu osady rolne, nie zostawiali w nich nigdy swoich chłopów, ale przenosili ich zawsze w

inne puste miejsca. Szlachcic zawsze otrzymywał ziemię bezludną i musiał wystarać się sobie o czynszowników lub o własną czeladź. To też wsie szlacheckie nie miały do wieku 13-go żadnej innej ludności, prócz rodziny szlachcica i jego czeladzi. Wszystko, co później było ludnością poddaną i pańszczyźnianą szlachty, a co już w wieku 15-ym wynosiło po kilkanaście rodzin kmiecych w wiosce, powstało zwykle z rozrodzenia się czeladzi dworskiej. Gdy z osady książęcej przechodzącej na własność szlachcica, książę kmieci swoich przeniósł gdzieindziej, nazwa tej osady, pochodząca od kmieci, którzy ją założyli, zwykle przestawała istnieć a tworzyła się nowa z imienia nowego dziedzica. Tak n. p. gdy w roku 1228 książę Opolski darował Lutowice rycerzowi Klemensowi czyli Klimuntowi, zaczęto wieś powyższą nazywać Klimuntowem.

Pierwotnie pola jako małe wysepki wśród morza lasów, były w Małopolsce tak nieobszerne, że książę chcąc obdarzyć zasłużonego sobie wojownika większą przestrzenią roli, musiał np. 20 łanów czyli około 20 włók w wieku 13 wydzielać aż w 13-tu wioskach. Do małej roli szlachcic zwykle dostawał w dodatku kawał boru, w którym zakładał z czasem nowe osady. Tym sposobem obok »starych« wiosek powstawały »nowe«, obok »wielkich« budowano »małe«. Książęca osada po wyniesieniu z niej kmieci stawała się zwykle macierzą kilku późniejszych wsi i folwarków szlacheckich. Do połowy 13-go wieku nie widać w posiadaniu szlachty wiosek z końcówką kmiecą na ice, ale odtąd są już w posiadaniu rycerzy wioski podobne. Wobec bowiem coraz szerszego użytku pisma, nazwy utrwalały się jako znaki martwe, do danej osady stale przywiązane, a powtóre ludzie szlachcica w założonej przez niego nowej osadzie, brali od swego pana nazwę z końcówką na ice. Tak więc gdy biskup osadził wioskę swymi ludźmi, nazwano i ludzi tych i wioskę Biskupice, gdy opat — Opatowice. A są i Dziekanowice, Popowice, Proboszczowice, Mnichowice, wreszcie od dostojników świeckich: Książenice, Podstolice, Komorowice, Chorążyce. W dziedzictwie Dalecha, wieś jego synów nazwano Dalechowice, a drugą, w której siedzieli jego chłopi, nazwano Dalechowy czyli ludzie Dalechowi. W ten sam sposób powstały obok Wojcieszyc — Wojciechowy, obok Sędowic — Sędowy. Gdzie mieszkali ludzie Łukasza czyli Łuki, nazywano tę wieś Łukowy.

Gęstość wiosek i ustalenie ich nazw sięga w Wielkopolsce i w niektórych okolicach Małopolski odległych czasów. W przywileju klasztoru tynieckiego z lat 1105—1120, na 15 miejscowości wymienionych z dawnej fundacyi Bolesława Chrobrego, przetrwało do dziś dnia bez zmiany 11: Tyniec, Kaszów, Czułów, Prądnik, Sydzina, Radziszów, Chorowice, Bytom, Siewierz, Gruszów i Łapczyce. Skoro zaś Bolesław darował te wsie Benedyktynom, musiały już być dawniejszemi osadami. Przywilej gnieźnieński z roku 1136 wymienia około 30 wsi nad rzeką Gąsawą, które składały prowincyę żnińską. Z powyższej liczby Lewel na dzisiejszych mapach tylko 5-ciu nie znalazł, a z 11-tu wsi wymienionych w prowincyi spicymirskiej nie odszukał tylko jednej. Wieś ze szlachecką nazwą Zębocin, sięga wieku 10-go, bo wymieniona jest jako własność Ungera, który był biskupem polskim od r. 982. Najpóźniej ustalenie nazw nastąpiło na Podlasiu, bo jakkolwiek mamy tam niektóre nazwy istniejące bez zmiany od wieku 13-go, to jednak wiele wsi jeszcze w wieku 15-tym kilkakrotnie zmieniało swe nazwiska. Np. wieś Żędziany pod Tykocinem, zmieniając właścicieli nazywała się: Zdrody, Drogwino i Żędziany. Dopiero ta ostatnia nazwa od szlachty Żędzianów, którzy tu osiedli w połowie 15-go wieku, pozostała utrwaloną. Zarówno królowie, jak szlachta, aby zachęcić ludzi roboczych do zakładania nowych osad na pustkowiach, uwalniali ich na pewien szereg lat od wszelkich czynszów i danin. Od tej wolności osadę taką nazywano Wolą lub Wólką,

że zaś powstawała w obrębie większych dóbr, więc od takowych dostawała drugą nazwę przymiotnikową. Nazwę Wola mamy już w dokumencie z roku 1254. Liczne Wole i Wólki w Polsce przenoszą nas w epokę gospodarstwa Kazimierza Wielkiego, który przez gęste ich zakładanie, ratował ludzi od nędzy, zaludniał kraj i przyczyniał pożytków ojczyźnie. (Dokończenie nastąpi).

POLOWANIE NA SŁONIE.

Baker opowiada zadziwiające rzeczy o arabskich myśliwych czyli agadżirach, z pokolenia Homran. Całe ich uzbrojenie składa się z miecza i z tarczy. Tarcze najczęściej są robione ze skór żyrafy i nosorożca, lecz są także w użyciu tarcze ze skór słoni i bawołów. Miecz jest obosieczny, prosty i długi, z rękojeścią w kształcie krzyża. Pochwa nie bywa nigdy metalowa, aby się ostrze miecza nie tępiło, lecz wyrobiona z dwóch deseczek z miękkiego, sprężystego drewna, obszytych skórą. Klinga od rękojeści okręcona jest bardzo gęsto sznurkiem na dwadzieścia centymetrów szerokości, aby mogła być ujętą prawą ręką, gdy lewa chwyta za rękojeść; tym sposobem miecz staje się dwuręcznym. Ciekawem jest bardzo, że te wybornie hartowane miecze pochodzą z niemieckich fabryk w Solingen i masami wywożone są do Afryki. Takimi mieczami uzbrojeni, śmiali, ale atletycznie zbudowani ci ludzie, idą na słonia, na lwa nawet i rzadko którego z nich spotka nieszczęśliwy wypadek. Wybierają się zawsze we dwóch, idąc za tropem słonia i dochodzą do niego pomiędzy godziną dziesiątą a dwunastą z rana. O tej porze słoń zwykle śpi, albo czuje się tak bezpiecznym, że się do niego łatwo można podkraść. Jeśli myśliwy ujrzy śpiącego słonia, skrada się ostrożnie i jednem cięciem miecza odrąbuje wyciągniętą na ziemi trąbę. Słoń się zrywa i uchodzi, ale gwałtowny krwotok przyprawia go o śmierć w przeciągu godziny; lecz jeśli się słoń obudzi przed zbliżeniem się myśliwego, ten już nie może wtedy dosięgnąć trąby: w takim razie myśliwy skrada się z tyłu i zadaje cios w ścięgno zadniej nogi (ścięgno Achillesa) na kilka cali powyżej stawu skokowego. Tym sposobem słoń jest okulawiony i ponowne cięcie w drugą nogę może być zadane bez trudności. Ponieważ arterye są przecięte, przeto gwałtowny upływ krwi w krótkim czasie pozbawia zwierzę życia. Tych sposobów używają ubodzy łowcy, zanim przez sprzedaż zdobytej słoniowej kości nie urosną w zamożność o tyle, że będą mogli dosięgnąć wyższych stopni swej sztuki.

Dla poznania właśnie tej sztuki wybrał sobie Baker czterech braci, imieniem Szerif, z pokolenia Homran, zaleconych jako najzręczniejszych łowców. Myśliwi po długiej wędrówce przez nagą, przez słońce wypaloną równinę, znaleźli nareszcie słonia nad brzegiem rzeki.

Był to piękny samiec; ogromne uszy zwieszone były ku przodowi, ponieważ zwierzę stało ze spuszczoną głową, i zasłaniały mu oczy. Myśliwi mieli wiatr za sobą, zbliżyli się zatem niepostrzeżenie na pięćdziesiąt kroków do słonia. Gdy ten nareszcie ich ujrzał, podniósł zwolna głowę, strzepnął uszami, wdrapał się powoli na urwisty brzeg rzeki i ruszył dalej. Aggadżiry naradzali się przez chwilę, poczem udali się jego śladem po urwistym brzegu. Jeźdźcy znajdowali się na bardzo niedogodnym gruncie. Dotychczas jechali po wypalonej ziemi, lecz nurt rzeki zatrzymał dalszy postęp ognia, a zeschła trawa nakrywała im głowy, tak, że zmuszeni byli stać w strzemionach; grunt był pokryty rumowiskiem kamieni i bardzo niewygodny do jazdy. Taher Szerif, najstarszy

z braci puścił się jednak kłusem, co też i inni uczynili, ponieważ stracili słonia z oczu. Dopiero wyjechawszy na wzgórze, ujrzeli znowu słonia w odległości ośmdziesięciu kroków przed sobą. Oglądał się on poza siebie, ruszając ciągle głową, a gdy ujrzał jeźdźców, zatrzymał się i zawrócił, jakby chciał na nich czekać. Taher wszakże znał doskonale naturę tych zwierząt, zawołał zatem na Baker'a: »Bądź gotów i pamiętaj o złomach skał!« Ledwie miał czas wypowiedzieć to ostrzeżenie, gdy słoń rzucił nagle głową i z przeraźliwym wrzaskiem wściekle pędził ku nim. Jeźdźcy puścili się pędem, uciekając przez zeschłe trawy, świszczące im koło uszu, po ukrytych w trawie kamieniach, a słoń, stąpając szerokimi krokami, znajdował się tuż za nimi. Konie nie były kute, stąd nie ślizgały się po kamieniach, coby sprowadziło niechybną zgubę dla jeźdźców. Na krzyk Taher'a jeźdźcy się rozproszyli, co słonia zmieszało; zaprzestał dalszej pogoni i miał się do odwrotu. W jednej chwili jeźdźcy znowu się zebrali i udali się za zwierzem. Ten jednak nie ponowił swojej napaści na ludzi, ale ujrzawszy konie, schronił się do kamienistej kryjówki, w której, w rozpadlinach skały, rosło kilka grubych drzew, ogołoconych z liści. Tutaj się zwrócił widocznie w zamiarze obrony; walka zatem była nieuniknioną i blizką. Taher Szerif radził Baker'owi ubić słonia z gwintówki, gdyż skalisty grunt był dla nich bardzo niedogodny; Baker jednak odmówił, gdyż sposobność oglądania łowów z mieczami była zanadto ponętną; wezwał Homran'ów, aby się postarali wypędzić zwierza na dogodniejsze miejsce, ale śmiali Nubijczycy ani słyszeć o tem nie chcieli: »Inszallah (jak się Bogu podoba), nie pobije nas!« zawołał Taher i podjechał do Baker'a, aby się trzymać koło niego i być gotowym do odparcia napaści zwierza. Tymczasem słoń stał nieruchomy, jak posąg; oczy mu tylko latały na wszystkie strony. Taher i młodszy brat jego Ibrahim oddzielili się od towarzystwa, i każdy z nich pominął słonia, przejeżdzając z prawej i z lewej jego strony. O dwadzieścia kroków za nim, zjechali się znowu; Baker chciał się z nimi połączyć, ale na znak Taher'a musiał odjechać w bok na takąż odległość. Pozostali dwaj bracia zachowali swe stanowisko naprzeciw słonia, z tych najmłodszy Rodur, mały, ale w całej okolicy wsławiony z tego, że raz na takiem polowaniu trafił mu się nieszczęśliwy wypadek, bo rozjuszony słoń przebił mu rękę kłami od czego mu cała ręka uschła.



SŁOŃ.

Gdy wszystko było gotowe, Rodur podjechał zwolna naprzeciw głowy sło-

nia, który ciągle spokojnie wyczekiwał sposobnej pory, aby się rzucić na przeciwnika, skoro upatrzy najsłabsze miejsce. Było to bez wątpienia stare, zmyślne zwierzę. Lekka, gniada klacz, na której Rodur siedział, wybornie była do takich łowów ułożona i znała gruntownie swoją powinność. Zwolna, spokojnie zbliżała się do olbrzymiego swego przeciwnika, aż stanęła na kilka kroków od jego trąby; słoń się jednak wcale nie poruszył. Nikt nie wyrzekł ani słowa; w grobowem milczeniu każdy pozostawał na swem stanowisku, aż wreszcie klacz Rodura, mając oczy wlepione w słonia, parsknęła zlekka. Również nieruchomie patrzał Rodur na zwierza, ale siedział w siodle z zupełnem spokojem. Nagle zabłysły dziko oczy słonia, tak, że tylko białka widać było. Wtedy klacz zwróciła się w miejscu na zadzie i pomknęła, jak strzała, z małym Rodurem na grzbiecie, który pochylił się aż do grzywy, ale obróciwszy głowę przez lewe ramię, uważnie śledził ruchy słonia. Klacz sadziła jak gazella przez skały i kamienie, słoń zaś pędził za nią, jak wicher.

Była chwila, w której się zdawało, że doścignie uciekających. Gdyby się potknęła, byłoby już po niej i po jeźdźcu, ale wkrótce zyskała przewagę w szybkości nad słoniem; lecz Rodur trzymał ją tak, aby trąba słonia znajdowała się ciągle o kilka metrów od ogona klaczy. Teraz Taher i Ibrahim pędzili jak sokoły za słoniem, w najszybszym biegu unikając zręcznie drzew, aż się wydobyli na wolną przestrzeń i doskoczyli do słonia. Ten rozwścieczony, widział tylko klacz i Rodura na niej, nie zważając na nic, co się koło niego działo. Taher, dojechawszy do słonia, ostrożnie dobył miecza; jeszcze parę skoków, a zręcznie, jak węgorz, ześlizgnął się z konia, którego tymczasem Ibrahim pochwycił za cugle. Potem zrobił już na ziemi parę skoków, dosięgnął słonia i nagle jasna błyskawica zamigotała w powietrzu: to słońce tak zaświeciło na klindze miecza. Rozległ się głuchy odgłos ciosu; klinga spadła na nogę olbrzyma, przecięła mięśnie, żyły i ścięgna.

Słoń, jakby piorunem rażony, stanął w miejscu, drżąc na całem ciele i nie oglądając się wcale. Taher już siedział na koniu, aby na wszelki wypadek gotowym być do ucieczki; lecz to było już niepotrzebne. Rodur zwrócił klacz swoją, która słonia drażniła i wabiła do pogoni, zeskoczył z siodła i sypnął słoniowi garść piasku w oczy, pałające wściekłością.

Słoń chciał jeszcze rzucić się na zuchwalca, ale napróżno; przecięta noga nie mogła go utrzymać i wygięła się do góry; w okamgnieniu Taher powtórnie skoczył na ziemię i nowym ciosem ugodził w drugą nogę olbrzyma, który tak rażony, już się nie mógł ruszyć z miejsca; pierwsze cięcie okulawiło go, drugie zadało mu cios śmiertelny; tętnice były przecięte, a krew buchała strumieniami z otwartych, szerokich ran. Baker chciał wystrzałem w ucho skrócić mękę słonia, ale Taher go powstrzymał, mówiąc, że zwierz spłynie krwią i skończy życie bez bólu.

Niewiadomo, co tutaj więcej jest podziwienia godne: czy zimna krew i szalona odwaga tego, który drażni słonia i wyzywa go do pogoni za sobą, czy zręczność, bystrość oka, pewność ręki i przytomność umysłu tego, który zadaje ciosy mieczem. Walka to zawsze niebezpieczna, i bywają przykłady, że aggadżiry padają ofiarą szalonej swej odwagi. Rozwścieczony słoń jest strasznym przeciwnikiem; takimi są również nosorożec i lew, które z nim także staczają zacięte walki.

O ZABŁOCKIM I MYDLE.

I.

Wiesz co, panie Jakóbie?
Ja tych żalów nie lubię.
To już nasza natura,
Że gdzie człowiek nie wskóra,
Zaraz krzyki, hałasy:
Winien Pan Bóg, złe czasy,
Albo ludzka w tem wina,
Lub feralna godzina...
Ej! my, panie Jakóbie,
Sami winni swej zgubie.

II.

Mamy, panie, swój rozum,
Mamy nomen gloriosum,
Chleba, miodu i mleka,
Że daj Boże do wieka!
Siedź w dostatkach po szyję
I chwal Pannę Maryę.
Gdzie tam! ani do głowy!
Gorzki nam chleb domowy...
Doma chwast i pokrzywa,
Choć grunt niezgorszy bywa,
A my ze swym lemieszem
Na cudzą niwę śpieszym.
Naśladuje chęć płocha
To Francuza, to Włocha,
A jak ludzi nie stanie,
To choć Niemca, mospanie.
Więc nie dziwne koleje,
Że nas Francuz ośmieje,
Że nas Niemiec oskubie.
Prawdaż, panie Jakóbie?

III.

Żywy przykład ci właśnie
Na Zabłockim wyjaśnię.
A Zabłocki... to wiecie,
Co to sławny na świecie,
Co to z wielkiej rachuby
Mydłem przyszedł do zguby.
Ja go znałem... Dziad stary
Siedział z kijkiem u fary,
Żebrząc chleba i strawy;
Nosił kubrak dziurawy,
Na nim torbę przypasze
I pas z herbem na blasze.
Drży bywało od chłodu...
A był bogacz za młodu!
Gdzie na Litwie głębokiej
Trzymał gruntu trzy włoki,
Konie, pszczoły, oborę
I grosiwo miał spore.
Gdzież to wszystko przemija?
Szlachcic przyszedł do kija!
Żebrze stary i chory;
A na mszę i nieszpory
Szlachta idąc gromadnie,
Aż od śmiechu się kładnie.
Zaczepiają go młodzi:
»Jak się handel powodzi?«
A staremu nie żarty:
Płacze ręką podparty,
I choć własna w tem wina,
To on Niemców przeklina.

Raz mu jakiś podróżny
Hojnie rzucił jałmużny,
Więc, jak zwykle dziadowie,
Za dobrodziejów zdrowie
Poszedł na miód w gospodę,
I tam dzieje swe młode
Gadał... mając już w czubie.
Słuchaj, panie Jakóbie!

IV.

»Byłem młody — powiada —
»I zamożny nielada:
»Trzos pełen, szkapa gładka,
»Pracowita czeladka,
»A karność jak po brzytwie;
»A nad Niemnem na Litwie,
»Chociaż niwa piaszczysta,
»Człek na sianku skorzysta.
»Dawałem sobie radę:
»Do Turowa pojadę
»I nakupię, mospanie,
»Krówek wielkich jak łanie,
»Wołów jak się należy,
»Jak żubrów z Białowieży,
»Wszystko siwe wspaniale
»Ukraińskie rogale.
»Pędzę na błonia nasze
»I sowito wypaszę,
»A potem z naszej trawy
»Prowadzę do Warszawy,
»I na mojej chudobie
»Wór talarów zarobię!
»Samo szczęście szło do mnie:
»Po szlachecku i skromnie
»Zbieram ziarnko do ziarnka,
»Talarek do talarka,
»I tak z trudem niemałym
»Cały tysiąc zebrałem;
»A talarki w tej dacie,
»Jeżeli pamiętacie,
»Bite jednym kalibrem
»Szły dziewięć złotych srebrem.«

Gdy Zabłocki to gwarzy,
To aż wesół na twarzy,
Kręci wąsy w swej chlubie,
Ot tak, panie Jakóbie!

V.

»Raz — powiada — w Warszawie
»Szedłem sobie ciekawie,
»Szedłem i łamię głowę,
»Że tam w strony domowe

»Coś mi kupić wypadnie,
»Byle tylko coś ładnie,
»Byle tylko niedrogo!
»A zgadnijcie dla kogo?
»Ha! choć miałem w tej porze
»Lat z pięćdziesiąt już może,
»Ale co tam! choć trzysta,
»Byle dusza ognista.
»Jak po maśle, jak z góry,
»Można ruszyć w konkury!
»A o milę ode mnie
»Mieszkał szlachcic przy Niemnie
»I miał krewną daleką,
»Krew, mospanie, i mleko,
»Dziewczę pełne urody,
»Że klękajcie narody!
»Więc myślałem i szczerze:
»Ot w zaloty uderzę:
»Daj mi rączkę i kwita, —
»I ksiądz proboszcz przeczyta
»Zapowiedzi w kościele,
»Potem będzie wesele,
»I Zabłockich rodzina
»Pójdzie z ojca na syna.
»Otoż w głowę zachodzę,
»Coby kupić niebodze?
»Mało w oczy co kole?
»Tam złotogłów, sobole,
»Zausznice ze złota,
»Wszystko cudna robota;
»Lecz to drogo bez miary,
»Senatorskie towary.
»Myślę sobie: Do licha!
»Nie dla szlachty ta pycha.
»Mój się mieszek rozszasta,
»A tu jeszcze niewiasta
»(Niechaj Pan Bóg zachowa!)
»Popsuć mi się gotowa;
»Jakiemś cackiem, klejnotem
»Kupię biedę na potem,
»Śmiać się będą sąsiedzi!«
Tak Zabłocki się biedzi,
Biedzi swoją chudobą,
I miał słuszność za sobą.
Bo kiedy się niebacznie
Zbytek przed ślubem zacznie,
To cóż będzie po ślubie?
Prawda, panie Jakóbie?

VI.

»Co tu począć? zła rada!
»Chciałem wracać, — powiada: —
»Aż tu sklepik koło mnie,
»Strojny pięknie a skromnie,
»Na nim desek ze cztery
»Ze złotemi litery:
»Tu są różne pachnidła,
»Wonią zaprawne mydła,
»Wonne wódki i wina.
»Johann Gripsner z Berlina.«
»Ot znalazłem nareszcie,
»Co potrzeba niewieście!
»Tu nie musi być drogô,
»Kupię dla cię, niebogo,
»Funt mydełka z Warszawy
»Z różanemi zaprawy;
»Rzecz to u nas tak rzadka,
»I niejedna sąsiadka
»Pozazdrości niebodze!
»Pomyślałem — i wchodzę,
»I w targ z Niemcem — tfu mara!
»Za funt mydła talara...
»Aż przebiegły mnie dreszcze!...
»A tu Niemiec w śmiech jeszcze!
»Co to, Niemcze! ja dziecko?!
»Znaj naturę szlachecką!
»Więc zmarszczywszy nań czołem,
»Talar bity cisnąłem,
»I z mem kupnem wychodzę,
I tak myślę po drodze:
»Co to Niemiec?! no proszę!
»Jak mu łatwo o grosze!
»Jak on w pierze porasta!
»Przemysł, panie... i basta!
»Wszak to — spytaj mydlarzy:
»Mydło z mięsa się warzy,
»Dodaj wonnej zaprawy,
»Ot i sekret ciekawy!
»Zysk na mydle nielada!
»Funt... talara wypada
»Bez żadnego mozołu;
»Toż on z jednego wołu,
»Wziąwszy pod kredkę szczerze,
»Sto talarów wybierze.
»U nas wołów dostatek,
»Toć sprzedaję do jatek,
»Głupia szlachta i kwita!
»Żaden ani zapyta,
»Że niemiecką iść drogą,
»Większe zyski być mogą.
»Nie święci lepią garnki.
»Zła korzyść z gospodarki:
»Ot ja zadziwię tłuszczę,
»W nowe zyski się puszczę,
»I jak Pan Bóg da zdrowie,
»Kupię woły w Turowie
»I mydełko uwarzę —
»Zazdroście gospodarze!
»Bo to pod dobrą porę
»Ze sto tysięcy zbiorę
»Tych talarków... co wiecie,
»Co w brzęczącej monecie
»Bite jednym kalibrem
»Po dziewięć złotych srebrem.«
W takich myślach jak w niebie
Wszedł Zabłocki do siebie,
Piękne zyski gotówką
Licząc kredką i główką;
A na takiej rachubie
Zasnął, panie Jakubie!

(Dokończenie nastąpi.)

WIECZORNICE.

Życie ziemiańskie dawało w ubiegłym wieku każdej kobiecie więcej rozrywek aniżeli miasto, bo i jakiż był porządek każdego dnia, tygodnia i miesiąca w ciągu całego roku?

Pani domu wcześnie budząc się ze snu, po porannej modlitwie, zajmowała się gospodarstwem, wychowaniem dziatwy, pracą w ogrodach warzywnych i sadach owocowych, przyrządem z nabiału codziennego świeżego masła na stół i solonego na zapas zimowy, wyrobem serów, krup i kaszy, smażeniem powideł i konfitur, zaopatrywaniem hojnem apteczki domowej, w rozmaite nalewki i wódki przepędzane na alembiku, a do nich suchych owoców na przegryzkę; przygotowaniem wędlin i półgęsków.

Kiedy w owe czasy przy każdym dworze była pasieka w ogrodzie, a po lasach chów pszczół dzikich szeroko rozwinięty, do zatrudnienia pani domu należało przyrządzać patokę z podebranych ulów; mieć wosk oczyszczony do świec jarzących dla kościoła i na uroczystości rodzinne, sycić miód jak trunek, który wybornie zastępował zagraniczne wina. Dodajmy do tego chów drobiu i nierogacizny, owych głównych podstaw każdego gospodarstwa, a łatwo ocenimy, że chwili wolnej od godziny porannej aż do wieczornej, nie pozostawało nigdy. Takie były prace w dnie powszednie: wcześnie szły do spoczynku, smaczny sen krzepił utrudzenie całodziennie, ażeby w następny dzień znów do zajęć zwykłych powracać na nowo.

Starsze córki ochotnie idąc w ślady swych matek, przyjmowały udział w każdej ich pracy, młodszych oczy nazwyczajały się wcześnie spoglądać na tak rozmaite zajęcia domowe i wyrabiały w sobie przekonanie o potrzebie pracowitego życia.

Podwajały się trudy niewieściego grona, gdy nadchodziły święta Bożego Narodzenia i Wigilia, jeszcze większe na Wielkanoc, Zielone Świątki i w dniu imienin ojca i matki.

Tak dzień za dniem składały tygodnie, w których chwilą odetchnienia były niedziele i święta uroczyste. Najwięcej swobody dawała długa jesień i zima. Tu już pani domu, wraz z drużyną niewieścich powierniczek stałych, oddychały wolniej, używając owoców prac swoich z wiosną i przez całe lato podejmowanych. Z nabiałem tylko jedna pozostała praca, ale w sadach i ogrodach, pod naściołką grubego śniegu, nie było co robić. Ze spiżarni, piwnic i lamusów szły zapasy gotowe na dostatnie zastawy stołu, dla przyjęć miłych zawsze choćby najliczniejszych gości.



Jak wielkie są granaty?

Teraz gdy wiatr jesienny ze śniegiem zaczął gwizdać na dworze, a następnie mróz coraz silniejszy ściskać, wszystko chroniło się w izby i komnaty dworów ciepłych i oficyn, gdzie ogień na kominie nieustannie jasnym płomieniem pocieszał, ogrzewał i rozweselał mieszkańców.

W długie wieczory zimowe prządki przy tym płomieniu zajmowały pierwsze miejsce, czy to w większej komnacie państwa, czy w czysto umiecionej izbie czeladnej, zasiadało do tej pracy grono wiejskich dziewczek i dla skrócenia sobie nocnych godzin i uprzyjemnienia chwil pracy poświęconej, jedne śpiewały ulubione piosenki ludowe, drugie więcej rezolutne i wymowne, opowiadały cudowne powieści i stare klechdy.

Brzmi pełna rzewności melodya, na to hasło całe grono śpiewaczek, uczy się tych pieśni, do których głos swój nałamują aby je wiernie same powtarzać mogły.

Przy powtarzaniu pieśni z obchodu weselnego, zaraz dodawane były opisy rozmaitych zwyczajów zachowywanych

przy tym obrzędzie. Wyjazd panny młodej do kościoła, błogosławieństwo rodziców, powrót, uczta weselna.

Przy radosnych jednakże stołach, nie zapomniał lud w swojej pieśni o niedoli sierot, kiedy taka sierotka obchodziła gody weselne, przypominała rzewna śpiewaczka stan jej godny litości sercu żywo czujących. Kukułka, on ptak poetyczny, godło smutku i żałoby, wysyłanym jest na cmentarz, zapraszając ojca i matkę, żeby błogosławili swą osamotniałą córkę, która czeka na ich uścisk i słowo pociechy. Kukułka rozwija skrzydła, ulatuje na mogiłki i wraca, przynosząc wieść bolesną do kościółka, że ani ojciec ani matka już nie przybędą.

Wszystkie te pieśni, które w ścianach dworu brzmiały, od dzieweczek wiejskich przechodziły do córek i krewniaczek dziedziców; pieśń ludu obudzała pierwsze uczucia ich serca, ukazując woń prawdziwej poezyi, w prostą szatę, ale pełną prawdy i rzewności przystrojona. We wszystkich tych utworach poetycznych, które są kwiatem uczuć i przędzą myśli ludowych, widzimy czystą naukę moralną. Nigdzie słowa zachęty dla złego, nigdzie występek, a tem bardziej zbrodnia, nie uchodzi bezkarnie. Tak mimowiednie, każdą zimę przy ognisku komina, z ust prządek wiejskich, w gronie słuchaczy młodych i drobnych nawet, piosnki rozszerzały sferę wiedzy, kształtowały serca, rozwijały wyobraźnię. Bajki i powieści ludowe w inny świat przenosiły całe grono młodzieży dworkiej, szczególniej gdy zdarzyła się prządka wymowna, a z dobrą pamięcią. Wpływ jej był potężny na całą drużynę słuchaczek.

Patrzcie! z jaką trwogą słuchają strasznej opowieści o sławnym zbójcy Madeju, który po długich latach w zbrodniach i morderstwach ciągłych spędzonych, nastraszony obrazem okropnych męczarni, jakie już dla niego w piekle przygotowano, które mu pobożny żaczek tak wymownie opisał, bo je widział w tem zapadłem podziemiu, zwraca się na drogę pokuty i po długich latach dostępuje rozgrzeszenia!

Jeżeli kukułka jest ptakiem żałoby i smutku, to sokół wierności; wrony, kawki, gawrony, są wróżbitami niedoli, krwawej wojny, napadu i pożogi pohańców. Sowa wróży rychłą śmierć dla jednego z mieszkańców domostwa, na którego dachu smutnie pod wieczór zakwili. Jaskółka i skowronek zapowiadają rychłą wiosnę, zarówno z bocianem, który zarazem jest godłem szczęścia.

Bieda i Nędza przyoblekają ludzkie ciało i w swoich postaciach noszą wyraźne ślady właściwej różnicy, jaka je cechuje, podobnie jak Sen i Drzemota, przyobleczone w ciało ludzkie, szukają w ciepłej chacie spoczynku.

Nie brak fantastycznych postaci, które w różnych okolicach kraju są postrachem wiejskich mieszkańców. Tam zębata Strzyga straszy, tu Upiór, krwi ludzkiej chciwy, a szczególniej krwi młodych dziewcząt, rozsiewa trwogę; tam człowiek przemieniony w wilka jako Wilkołak popłoch roznosi. Czarownice na pomiotłach, albo w dzieżach gdzie się chleb zarabia, latają w powietrzu, zbierają do uczt i zabaw na Łysą Górę i z dyabłami harcują po nocach. Rusałki, Majki i Bogunki wabią przechodniów. Dziewica Cicha, inaczej zwana Kania, porywa drobną dziatwę, a to widmo ma postać małej dziewczynki, co chodzi w białej szacie.

A po tych strasznych powieściach idą ludowe legendy, z owych wieków, kiedy Zbawiciel chodził po bożym świecie i cuda się działy.

Posłuchajmy jednej, z wysoką myślą i głęboką nauką.

Przed dawnymi laty, Chrystus Pan wraz ze świętym Piotrem, chodził po naszej ziemi. Były to czasy żniwa, zboże w kopach stało na polu. Dzionek był skwarny, bo to ostatki Sierpnia; słońce w samo południe dopiekało żarem. Zwrócił więc kroki swoje do poblizkiej wioski i wszedłszy na podwórko pierwszej chaty, usiadł pod rozłożystą lipą, która dawała cień i chłodek przyjemny. Roje pszczół z ogrodowej pasieki grały na koronie drzewa, a było to w owej dobie,

kiedy każdy człowiek wiedział z pewnością o swoim dniu i godzinie śmierci.

Kiedy tak Zbawiciel siedzi i spoczywa ze swym pierwszym Apostołem, spojrzy, a przy stodole pod dębem, sędziwy starzec, z długą po pas mleczną brodą, zepsute koło od wozu, którym zwoził snopki żyta i pszenicy z pola, obwięzuje powrósłem ze słomy, zamiast naprawić go gruntownie. Powstał więc z pod lipy, zbliżył się do starca i rzekł:

— A cóż to gospodarzu robicie? Wasza praca na nic się nie przyda, bo zaledwie przywieziecie parę fur zboża z niwy, to się koło rozsypie.

— A na cóż mi dobrodzieju staranniej koło naprawiać — odpowiedział kmieć — kiedy dzisiaj za kilka godzin umrę, jeszcze przed zachodem słońca. Niechaj tam sobie moje dzieci i wnuki poradzą lepiej.

Oburzony Chrystus Pan tymi słowy, w milczeniu wróciwszy pod cień lipy, przemówił do swego towarzysza.

— Widzisz Piotrze jak to źle, że ludzie wiedząc o godzinie swej śmierci, nic dla przyszłości nie chcą robić; to ich sprowadza z drogi przeznaczenia, jaką Pan i Ojciec nasz każdemu wytknął. Trzeba to dla szczęścia ludzi inaczej odmienić, bo świat wkrótceby zaginął! Któżby sadził drzewa, budował trwale i pracował jak pan Bóg przykazał, nietylko dla siebie, ale i dla swych potomków.

I jak stał Chrystus Pan, tak przeżegnał świat Boży na cztery strony, a od tej chwili, jak dawniej bywało, ludzie nie wiedzą ani dnia ani godziny swej śmierci.

Skarbnica, jak widzimy, pieśni, klechd, powieści i legend, o której tylko z lekka napomykamy, przechowana w żywem słowie ludu, na którą się długi szereg wieków składał, była nieprzebraną. Bogaciła się ta skarbnica nowymi zasobami z wojen krzyżowych, za powrotem rycerzy polskich z ziemi świętej, pobożnych pielgrzymów z Palestyny, z Betleem, Nazaretu i wszystkich miejsc uświęconych pamięcią Zbawiciela. Wszystkie te wieści chwytano chciwie i roznoszono ode wsi do wsi, powtarzano pieśni, które ci pątnicy przy wtórze »liry« śpiewali.

Prócz tego nowe coraz dumy i piosenki powstawały, improwizowane przez samychże wieśniaków, a głównie też młode dziewczęta i niewiasty chłopskie. Kobietom to wiejskim zawdzięczamy i ich przeważnemu wpływowi, że się dotąd przechowało tyle zabytków ludowej poezyi, tyle klechd i powieści i wszystkie obrzędy i obchody rodzinne, jak i rolne doroczne. Do tej wielkiej księgi poezyi ludowej, niepiśmiennej, przybywały zwolna utwory liryczne tych poetów, którzy potrafili prostotą formy, jasnością myśli i serdecznością uczuć, zbliżyć się do ludu, a śpiewna i łatwa melodya, trafiała do jego serca i ucha. Najwięcej poetycznych utworów Fr. Karpińskiego przeszło w ten sposób do ludu, także Kniaźnina niektóre.

DOSKONAŁE LEKARSTWO.

(Ciąg dalszy.)

— Ale co też kosztują, proszę wielmożnego doktora, te dziwne leki.

— Hm... są bardzo skuteczne, więc też i drogie... kosztują dukata.

— Byle jeno pomogły, to choć dziesięć zapłacę, — zawołała Tereska, przypomniawszy sobie, ile to ona już mądrym i owczarzom napłaciła a zawsze niestety! napróżno.

Położyła więc dukata na biórku, pocałowała doktora w rękę i z nadzieją w duszy, pospieszyła do domu.

Jeszcze tego samego dnia, gdy Mateusz, przyszedłszy z karczmy, jął wyprawiać zwykłe awantury, rozbijać stołki i statki, kląć i wyzywać, Tereska pociągnęła szybko z butelki, danej jej przez doktora, i trzymając lekar-

stwo w ustach, myślała sobie z radością:

— Czekaj, pijaku! mam ja teraz sposób na ciebie! Wrzeszcz, wrzeszcz! tłucz, rozbijaj, już nie długo twego waryowania!

Zuch szalał rzeczywiście, jakby waryat; ale gdy Tereska z pełnemi ustami lekarstwa milczała i ani jednem słówkiem nie drażniła pijaka, wnet się jego gniew wyczerpał. Znudziło mu się niebawem wykrzykiwanie do milczącej jak słup kobiety; to też zakląwszy, trzasnął drzwiami i poszedł spać do komory.

Tereska teraz dopiero, z tryumfującą miną, wypluła lekarstwo i aż ręce złożyła z radości, bo oto od bardzo wielu miesięcy, pierwszy raz się dziś zdarzyło, że pijany Mateusz jej nie bił, był to już widoczny skutek lekarstwa.

— O poganinie jeden! — zawołała z uśmiechem, — a tom cię dostała! Przyjdź jeno mi tu znowu wrzeszczeć! Wnet ja cię oduczę tych hałasów!

I nie na próżno tryumfowała młynarka. Ile razy Zuch przyszedł pijany, zawsze lekarstwo brała w usta i jakby męża nie widziała ani nie słyszała, co wygaduje, zatrudniała się swoją robotą. Młynarz, nie podniecany wyzwiskami żony, pokrzyczał chwilę, powygrażał pięścią i poszedł spać; po pewnym czasie zadawalniał się już kilku słowami przed udaniem się na spoczynek, a jeszcze później, kładł się na łóżko w milczeniu.

Niebawem przecie podpadło mu to uporczywe milczenie kobiety. Ruszyło go jakoś sumienie, zaniepokoił się, przeląkł prawie, bo bądź co bądź Tereskę zawsze kochał i nie chciał jej robić krzywdy; sądził poniewierając ją, że tylko broni się przed jej złością; ale teraz zmieniła się postać rzeczy.

— Tam do licha! Co się stało Teresce, czy aby baba nie chora?... — pomyślał sobie i nie poszedł tego dnia do karczmy, aby się lepiej przyjrzeć żonie.

Teraz dopiero spostrzegł, jak się nieboga zmieniła, jak pobladła, jak była smutną i pognębioną; nie mógł prawie poznać własnej żony i z przerażeniem pytał się siebie, czy to ta sama kobieta, wonna, wesoła, kwitnąca życiem, młodością i urodą, jaką brał przed czterema przeszło laty? W jednem się tylko nie zmieniła: porządna, schludna, zabiegliwa i pracowita była, jak w pierwszym roku po ślubie.

Mateusz ma serce poczciwe, to też gdy po trzeźwemu zastanowił się nad tem, jak nie panując nad swą gwałtownością w pijanym stanie, bił i poniewierał żonę, srogi żal ścisnął mu serce, w duszy powstały straszne wyrzuty.

— Biedne kobiecisko, co się to z tego ptaka śpiewającego zrobiło? — szeptał do siebie ze zgryzotą. — Ale po cóż mi tak trajkotała nad głową? — zaczął się zaraz sam usprawiedliwiać. — Czemu mi nigdy nie dała spokoju? Nie podobno było w domu wytrzymać, tak dokazywała; klęła, wyzywała mnie, jak ostatniego gałgana. Teraz jednak ani mruknie, choćbym cały dom chciał rozwalić, ani słowa nie powie; nie pamiętam, kiedy mnie wyzywała... Rety! rety! co to zaś jest? Musi jej coś strasznie dolegać; nie może inaczej być!

Nazajutrz znowu został w domu i jął wypytywać Tereskę, co jej jest, czego taka smutna i zafrasowana. Lecz kobieta zbyła go kilku słowy i w milczeniu poszła do swojej roboty.

(Dokończenie nastąpi.)

* Objaśnienia rycin. *

Granat do działa wielkiego kalibru na pancerniku. Wielkość pocisków niektórych dział okrętowych jest — jak widzimy na obrazku na str. 429 — bardzo wielka; dorównuje bowiem prawie swą długością stojącemu obok żołnierzowi okrętowemu. Szerokość granatu wynosi 45 centymetrów, zatem niemal pół metra. Obok stojący mniejszy granat jest pociskiem działa mniejszego kalibru. Można sobie wyobrazić skutek takich olbrzymich pocisków.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 8-go Lipca 1897. Nr. 27.

„Swiatło" wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika" w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Sekta samobójców.

W Rosyi, we wsi Ternawka, w gubernii teraspolskiej, wykryto ohydną prawosławną sektę, której członkowie sami sobie odbierali życie. Sekciarze ci, zwani także »rozkolnikami« lub »bezpopowcami«, bo się bez popów obchodzą, prowadzą życie podobne na oko do klasztornego, a ich klasztory, zwane »skity«, były przeznaczone zarówno dla mężczyzn jak i kobiet.

Takie mieszkanie »skitowe« nie różni się niczem od obszernych chat wiejskich. Przy jednej z takich chat wykryto niedawno piwnicę, w której zamurowano żywcem 9 osób, a opodal za zabudowaniami gospodarskiemi drugą piwnicę, w której pogrzebano żywcem drugą partyę sekciarzy.

Pogrzebał ich tam, rozumie się za ich zgodą, sekciarz prawosławny, Kowalew. W liczbie ofiar znajduje się jego własna młoda żona z dwojgiem dzieci, i staruszka matka jego. Podobne nory z żywcem pogrzebanymi odnaleziono w domu Jermołaja Garzyny i w domu Suchowa.

Początek tej ohydnej sekty był taki: Jeszcze przed dwoma laty rozeszła się pomiędzy »rozkolnikami« (sekciarzami prawosławnymi) wieść, że około 1-go Stycznia 1897 r. nastąpi koniec świata. Kometa zniszczy wszystko na świecie, i przyjdzie straszny sąd.

Wiadomość ta przeraziła sekciarzy, więc poczęli myśleć, jakimby sposobem oczyścić sumienie, jaką ofiarą świat ocalić? Zaczęli więc porzucać codzienne swe życie praktyczne, a chowali się do owych »skitów« na życie czysto duchowe, a potem, głównie za radą mniszki Witalii, postanowili dać się dobrowolnie pogrzebać, i w ten sposób ponieść jakoby męczeństwo za Chrystusa Pana.

Przypadkowo w Styczniu tego roku przy ogólnem spisie ludności, od którego wzbraniali się sekciarze, odkryły władze ową pierwszą piwnicę z żywcem pogrzebanymi. Straszny widok przedstawił się komisyi, gdy piwnicę rozbito.

Gromada ciał była już w rozkładzie; leżały te ciała w najróżnorodniejszych pozycyach; wszyscy skonali widocznie w konwulsyach i w strasznych męczarniach. Ręce i nogi powykręcane, tułowie poprzeginane, odzież porozrywana, niektórzy mieli połamane kości u nóg i rąk, a jedno niemowlę było jakby przerwane na pół.

Twarzy nie można było rozpoznać, musiały one jednak mieć straszny wyraz. Obok trupów leżały świece i książki do nabożeństwa, a z piwnicy bił fetor i zaduch nie do opisania.

Teodor Kowalew, sprawca tych zbrodni, obecnie uwięziony, jest zupełnie spokojny, je i śpi dobrze, a zapytany, dla czego sam siebie nie poświęcił na ofiarę i nie poniósł strasznej śmierci, odpowiada, że uczyniłby to chętnie »dla miłości Chrystusa Pana«, ale nie mógł znaleść nikogo, ktoby go chciał zamurować.

Podług ostatnich wiadomości poniosło taką śmierć męczeńską 25 zagorzalców, a grabarzem był także wyżej wspomniany Kowalew.

Sprawie tej rząd carski nadaje wielką wagę, i prowadzi energiczne śledztwo.

Rocznica Franklina.

W dniu 11 bm. upłynęło 50 lat od chwili gdy śmiały podróżnik John Franklin, zginął wraz ze swoją wyprawą w lodach podbiegunowych.

Cele wypraw podbiegunowych nie były zawsze jednakowe. Zarówno wy-

prawy XVI i XVII stulecia, jak prawie wszystkie nowsze wycieczki od 1818 roku aż do Franklina miały za zadanie odnalezienie północnej drogi przejazdowej dla okrętów. Dopiero od czasu Franklina poczęto nadawać wyprawom charakter naukowy, zawsze jednak połączony z celem wykazania najlepszej drogi morskiej. Cel ten popierany był przez rząd angielski, który w roku 1819 wyznaczył premium 10,000 funtów szterlingów za znalezienie drogi tak ważnej dla handlu międzynarodowego.

Zadanie to próbowano wykonać z trzech punktów: od strony zatoki Bafińskiej, od strony zatoki Behringa i od strony południowego stałego lądu Ameryki północnej. Od wschodu puszczali się na morze organizatorowie wypraw John Ross (1818 1820—23) oraz Parry (1819—20 1821—3 i 1824—25).

Nie najważniejszą w skutkach, ale najgłośniejszą w swoim czasie była wyprawa Johna Franklina, przedsiębrana w roku 1845. Wybór Franklina według słów geografów współczesnych nie był szczęśliwy, zwłaszcza z względów, iż podróżnik ten liczył w chwili wyjazdu 60 lat życia. Zadanie miała wyprawa następujące: Franklin ma przejechać z drogi Barrówa na południe lub na zachód aż do drogi Behringa. Oba okręty »Erebusz« i »Teror« miały załogi, składające się z 138 ludzi. W dniu 13 Maja roku 1845 opuścił Franklin wody Tamizy a po raz ostatni widziano go w zatoce Bafiińskiej w dniu 26 Lipca tegoż roku.

Nadeszło lato 1848 r. a o Franklinie nie było wiadomości, wobec czego zaczęto organizować wyprawy, mające na celu odszukanie zaginionych okrętów i ocalenie, jeżeli się to okaże możliwem resztek wyprawy. Pierwsze wyprawy nie dały żadnego rezultatu, a wówczas zarówno w Anglii jak Ameryce powstała formalna gorączka na organizowanie wypraw na poszukiwanie zaginionego. Do roku 1854 rząd angielski ofiarował na ten cel 16 mil. funtów szterlingów, taką samą sumę wydatkowano ze składek prywatnych. Ale dopiero pod koniec roku 1854 dowiedziano się o fatalnym rezultacie wyprawy. Jeden z członków »Handsonbai Compagne« dr. Rae, dopłynął z południa na półwysep Boothia, gdzie dowiedział się od koczujących eskimosów, iż w r. 1850 wysiadło na lód grono europejczyków w punkcie południowym półwyspu, obok którego zginęły ich okręty, i że nieszczęśliwi po długiej walce o byt z otaczającą przyrodą padli ofiarami śmierci głodowej. Rae otrzymał za to 10 tys. funtów szterlingów wyznaczone na odnalezienie wyprawy Franklina lub jej śladów.

Żona Franklina, nie zadowolniła się powierzchownem stwierdzeniem faktu zaginięcia męża, lecz chciała znaleźć dowody ściślejsze. Ze składek publicznych zgromadzono fundusze na kupno statku, którego dowództwo objął Mac Clintok, doświadczony w rzeczach podbiegunowych podróżnik. Po przezimowaniu w zatoce Melville, na zachodzie Grenlandyi, parowiec Mac Clintoka przepłynął na wiosnę 1858 r. przez cieśninię Lancaster i przez drogę Bellota przedostał się na domniemane miejsce katastrofy.

Tu okręt zamarzł po raz drugi w tej podróży wśród lodów, z czego korzystała załoga i przeszukała podczas licznych wycieczek saniami wszystkie prawie brzegi okoliczne.

Na wybrzeżu północnem ziemi Króla Wilhelma znaleziono wreszcie kartki z dziennika okrętowego, z których dowiedziano się, iż Franklin po opuszczeniu zamarzłych wśród lodów statków, umarł w dniu 11 Czerwca roku 1847, a po nim aż do 25 Kwietnia roku następnego zmarło 90 oficerów i 15 majtków.

W ten sposób przed pięćdziesięciu laty dowiedziano się prawdy o wyprawie Franklina.

Wdzięczność za ocalenie życia.

Kilku podróżnych zwiedzających Alpy obrało sobie dla bezpiecznego przez ogromne, śniegiem i lodem pokryte góry Szwajcara za przewodnika. Silny to był mężczyzna i nadzwyczaj zahartowany a jednak stanęły mu łzy w oczach, gdy się razu pewnego w bliskości zbyt niebezpiecznego miejsca znajdowali.

Zapytany o przyczynę łez, opowiedział następujące prawdziwe zdarzenie z swego życia:

— Widzicie, panowie, tam w dali ów przełam w lodzie? Jest to dziura mająca kształt lejka, na kilkanaście sążni głęboka, do której się wody zewsząd zbierają. Kto do niej wpadnie, ten według zdania ludzkiego bezwątpliwie stracony. Gdyby ręka Boska nie była mnie ocaliła, byłbym ja sam w owej otchłani życie utracił.

Pewnego razu polowałem w towarzystwie kilku przyjaciół na dzikie kozy. Wtem, kiedy zbyt gorliwie za wytropionym zwierzem gonię, usuwa się

podemną śnieg i wpadam z ogromną szybkością w ów przełam. Szczęściem, miałem tyle jeszcze przytomności, iż rozszerzyłem ręce i nogi tak, że oparłszy się o ściany lodowe tuż nad samą wodą zawisłem. Towarzysze pospieszyli natychmiast na mój ratunek. Lecz aby mnie wyciągnąć musieli nasamprzód do chaty co najmniej o milę odległej po powrozy pobiedz. Znajdowałem się w strasziwem położeniu. Siły coraz więcej mnie opuszczały, coraz niżej spadałem, tak że do połowy prawie już w nadzwyczaj zimnej wodzie się znajdowałem.

Nareszcie nadeszła pomoc. Przyjaciele dorzucają szybko jeden koniec ratującego powroza, do którego się przywiązawszy dałem znak aby mię wydźwigniono. Więc ciągną z całych sił i już tak dalece się z przepaści wydostałem, że rękoma blizko brzegu się uchwycić zdołałem, — w tem rwie się powróz i napowrót do otchłani lecę. Niebezpieczeństwo podwójne, raz że powróz powiązany wykazał się zbyt krótki, potem że powtórnie pędząc nadół złamałem rękę i tem mniej sam się do ratunku mego przyczynić mogłem.

Czem prędzej rozplatają powróz i w ten sposób przedłużony, ale też i osłabiony mi dorzucają. Posiadałem jeszcze tyle sił, aby chociaż jedną ręką mocno się przywiązać. Towarzysze po wtóry raz zwolna mnie do góry podciągają i wybawiają.

»Panowie, czyż podobna zapomnieć, że Wszechmocny Bóg mnie od oczywistej śmierci ocalił? Czy mam się wstydzić łez wdzięczności stojących w oczach na wspomnienie owej najokropniejszej w mej życiu chwili?

Praktyczne rady.

— **Sok porzeczkowy najlepszy.** Bierze się n. p. cztery klgr. porzeczek, rozgniata je na misce wałkiem i wynosi do piwnicy na 8 dni. Po tym czasie wylewa porzeczki na płat cienkiego płótna, — nie w worek, bo mało wyjdzie soku, — przywiązuje do czterech nóg stołka i pozostawia tak na 24 godzin, by ściekły. Następnie przysposabia się z 4 klgr. cukru syrop bardzo gęsty, tak aby się krople tegoż perliły, wlewa sok ściekły, zagotowuje na mocnym ogniu trzy razy, zbiera szumowiny dokładnie i wylewa w wazę dla ostudzenia. Gdy sok wystygnie, zlewa się go w butelki i korkuje. Sok taki nie zgalarecieje, jest wyborny, ma aromat, kolor i smak.

— **Tynktura do kadzenia z liści różanych.** Napełnia się flaszkę do połowy świeżemi listkami róży, nalewa na to 3 cz. wody i 1 część spirytusu mocnego, zatyka butelkę szczelnie i pozostawia przez 4 tygodnie. Otrzymuje się tym sposobem bardzo przyjemną tynkturę do kadzenia, która odlana z listków róży, może być przechowywana długie lata.

— **Środek przeciw pchłom u psów.** Gotuje się 70 gram. piołunu i 70 gram. owoców kolokwinty w 1 litrze wody. Płynem tym myje się psy.

— **Imitacya mahoniu.** Chcąc z wiśni, olszy, wiązu lub buku otrzymać materyał, podobny w zupełności do mahoniu, używa się do tego celu zaprawy złożonej z 1 części czerwieni anilinowej, rozpuszczonej w 25 cz. silnego spirytusu, do którego dodaje się rozczyn brunatnego barwnika anilinowego, biorąc 1 cz. tegoż na 50 części spirytusu. Zaprawa taka nadaje powyżej wymienionym gatunkom drzewa kolor, który czyni je nadzwyczaj podobnymi do mahoniu.

Rozmaitości.

* **Tunel pod Simplonem.** Układ rządu włoskiego ze Szwajcaryą o przebicie tunelu i przeprowadzenie kolei żelaznej przez górę Simplon, albo — jak się ona po włosku nazywa — przez Sempione otrzymał już zatwierdzenie ze strony parlamentu włoskiego. Umowę przedwstępną zawarto na początku roku bieżącego; miasta Genua i Medyolan, dwa wielkie centra handlowe włoskie, zobowiązały się ofiarować cztery miliony lirów na budowę kolei, pod pewnymi warunkami, które trudności nie nastręczą. Korzyści nowej linii kolejowej, łączącej Włochy krótszą drogą z Francyą, Anglią, Szwajcaryą uznane są powszechnie. Z Medyolanu do Paryża odległość wynosi obecnie przez Mont Cenis 945 kilometrów, przez Gotard 904 klm., a przez przyszłą linią Simplonu wyniesie tylko 854 klm. W tym samym stosunku zmniejszy się odległość z Calais, Wenecyi z Paryżem, Genui z Calais itd. Najwięcej zyska port genueński, który zrobi wielką konkurencyę Marsylii i kto wie, czy niezadługo nie odbierze mu tranzytu większej części towarów do Europy przeznaczonych; zyskają również kantony Szwajcaryi zachodniej: Vaud, Neufchatel, Fryburg, Genewa i t. d. Jak dotychczas, część Szwajcaryi była na łasce portu marsylskiego i kolonii francuskich. Inną jeszcze korzyścią dla handlu międzynarodowego będzie walka taryfowa na przewóz towarów i osób pomiędzy dwoma towarzystwami Cenis i Gotarda, a nowem towarzystwem Simplonu. Budowa nowej linii nie będzie ukończoną przed dziesięciu laty.

* **Najdroższe i najtańsze miasto.** Najdroższem miastem jest Gibraltar, a to z powodu, iż on żadną miarą w którąkolwiek stronę rozszerzać się nie może. Jak wiadomo, Gibraltar stoi na wysokiej skale nad cieśniną, wiodącą z oceanu Atlantyckiego na morze Śródziemne. Otóż miasto budować się mogło jedynie na pasku ziemi, która

ongi była wybrzeżem morskiem. Na tym malenkim skrawku gnieździ się jak może 30,000 ludzi, co sprawia, iż Gibraltar jest pod względem mieszkań najdroższem miasem na świecie, gdyż cena mieszkań przewyższa tam o 70 proc. ceny londyńskie: Najtańsze zaś mieszkania w Europie ma Malta, tam bowiem można dostać cały dom, złożony z 8 do 9 pokoi za 80 do 100 marek niemieckich rocznie. Pochodzi to głównie ztąd, iż mieszkaniec Malty buduje domy z piaskowca, z którego składa się cała wyspa. Kopiąc więc fundamenty, wydobywa jednocześnie materyał budowlany.

* **Szybkość czytania** jest ściśle określoną; zależy ona od języka, i naturalnie od wprawy, z jaką tę sztukę uprawiać możeby. Osoba, czytająca dużo, rozpoznać może 300 do 400 wyrazów na minutę, jeśli chodzi o przedmiot dobrze znany, romans, opowiadanie lub rzecz, nie potrzebującą zrozumienia — liczba przybliża się do 400 wyrazów; jeśli co czytamy cięższego, nie przejdziemy więcej nad 300 wyrazów na minutę. Dzieci mogą czytać o wiele prędzej, niż dorośli; czytają jednak mniej dokładnie i »połykają« wiele wyrazów.

* **Nieomylny środek** przeciw piekłu, wyjęty z kroniki z XV wieku: Weź 5 łutów pokoju, 10 łutów cierpliwości, 15 łutów wstrzemięźliwości, 20 łutów czystości, 30 łutów szczodrości i 120 łutów pokory. To wszystko dobrze utłucz w moździerzu wiary, tłuczkiem siły, dolej do tego kwaterkę nadziei, usmaż to na patelni sprawiedliwości, na ogniu miłości chrześciańskiej, zmięszaj to pobożną modliwą, a ustaw do spiżarni stałości, aby się ta masa nie pokryła pleśnią ludzkich znikomości. Tą maścią posmaruj się codzień rano i wieczorem, a pomoże ci to najskuteczniej przeciw piekłu.

ZAGADKI.

1.

1. Spółgłoska.
2. Stworzenie żyjące w wodzie.
3. Przedmiot do gry używany.
4. Część wojska.
5. . . . .
6. Narzędzie rólnicze.
7. Schowek na pieniądze.
8. Rzeka w Europie.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko słynnego hetmana.

2.

Pierwszą wskazujesz zawsze panienki i panie,
Trzecia, zwykle Kroatów zwierzchnika nazwanie,
Pierwsza z drugą każdego towaru pakunek,
Druga z pierwszą, ta wchodzi dość często w rachunek.
Całość znajdziesz przy wojsku i w każdej kapeli,
Zbudzi zawsze i porwie z miękkiej pościeli.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 25:

1.

A	**M**	a	l	i	n	a
B	K	**A**	l	i	n	a
C	L	u	**D**	w	i	k
D	O	b	e	**R**	e	k
E	C	z	y	ż	**Y**	k
F	A	r	a	r	a	**T**

2.

1. Maj. 2. Job. 3. Ebro. 4. Cal. 5. Züdersce. 6. Yankes. 7. Sokoł. 8. Łabia. 9. Augustynów. 10. Wiec. 11. Groch. 12. Nabuchodonozor. 13. Ucho. 14. Starodub. 15. Nachor. 16. Ypsylanty. — Mieczysław Gnuśny i Bolesław Chrobry.

Dobre rozwiązania zagadek nadesłali: E. Pietruszka z Bytomia, Jan Badura z Roździenia, Antoni Ryguła z Szopienic, Józef Knopp z Zabrza, Wincenty Błaszczyk z Zamysłowa. Antoni Waranka z Wybranówki (Galicya), Fr. Suchanecki z Golejewa pod Hojnem.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.